

ELWIRA DRESLER-JANIK

Gdy dusze wracają

Elwira Dresler-Janik – wychowana na baśniach i legendach, od dziecka niepoprawna romantyczka i marzycielka. Pasjonatka skandynawskich kryminałów oraz marchewkowego ciasta. Autorka cyklu *Leszygród*, w którym łączy fantastykę i wierzenia słowiańskie. Kocha podróże, naturę i czas z bliskimi. Zamiłowanie do kwiatów i ogrodów odnajduje odbicie w malowniczych opisach przyrody oraz świecie pełnym tajemnicy, magii i ludowych motywów.

W serii „Słowiańskie Światy” dotychczas ukazały się:

cykl *Leszygród*:

- *Córki bogini Mokosz*. Tom 1
- *Topielica z mokradeł*. Tom 2
- *Opiekun lasu*. Tom 3
- *Szczodry wieczór*. Tom 4
- *Syn Welesa*. Prequel.

Jesienny las złocił się w nieśmiałych promieniach słońca, które z trudem przebijały się przez ciężkie chmury. Chłód i wilgoć wypełniały zakamarki splątanych korzeni, a zapach mchu i grzybów łaskotał nozdrza. Szepczący Las niósł cichy szmer pluskającej rzeki Strugi, a krakanie kruków błędziło między nagimi gałęziami. Pod drzewami krążyła młoda dziewczyna z jasnym warkoczem przerzuconym przez ramię i zbierała chrust na ognisko, które miała rozpalić wraz z leśną babą, gdy zapadnie zmrok. W ten graniczny czas, gdy bramy Wyraju uchylały się na krótką chwilę, a zmarli wracali z zaświatów, by raz jeszcze spotkać się z bliskimi, należało wskazać duszom drogę, przywitać je i nakarmić. Czasem zdarzało się, że któraś z nich nie chciała odejść.

Zadaniem Jagi było czuwanie nad tymi, o których świat zapomniał. Prowadziła na ucztę dusze bez imion, których rody

dawno wygasły na ziemi. Dla Dobrusi, oddanej przed laty pod opiekę leśnej babie, nie była to pierwsza noc dziadów. Miała już szesnaście wiosen i rosła na piękną pannę, lecz mimo to wciąż trudno jej było znieść ciekawskie, a czasem i zawistne spojrzenia zmarłych. Patrzyli na nią uważniej niż na innych żywych, a w jej twarzy szukali czegoś znajomego. Wiedzieli, że dziewczyna nie jest zwykłym człowiekiem. Czuli to w jej oddechu, w ciepłe dłoni, w cieniu, który kładł się u jej stóp. Pozostał w niej ślad cienki jak pajęczna nić, który był ledwie widoczny, lecz wystarczający, żeby umarli ją rozpoznawali. Niektóre dusze podchodziły bliżej, wpatrując się w dziewczynę z cichą tęsknotą. Inne odwracały wzrok z zazdrością, gdyż ona mogła wrócić, a im tego odmówiono. Wiedziała, że dla nich jest kimś pomiędzy. Dla mieszkańców Leszygrodu nigdy nie będzie jedną z nich, bo przeszła już przez bramę i wróciła. Dusze także nie mogły jej przyjąć, bo wciąż należała do świata żywych. Była niczyja, a właśnie dlatego potrzebna szczególnie tej nocy, gdy granice stawały się cienkie, a oba światy przenikały się nawzajem.

– A niech to! – syknęła przez zaciśnięte zęby, gdy ostre kolce tarniny wbiły się w odkryty nadgarstek i pokaleczyły jej skórę.

Dziewczyna przycisnęła dłoń do rany i dopiero wtedy zauważyła, że rękaw jej ulubionej sukienki został rozerwany. Pożałowała, że nie włożyła czegoś starego i znoszonego, lecz chciała wyglądać godnie, gdy przyjdą pierwsze dusze. Ich odwiedziny zawsze napełniały ją osobliwym podnieceniem, taką cichą radością podszytą lękiem. Lubiła te chwile, kiedy

zaglądały do chaty. Siadały przy ogniu niczym zwyczajni goście i wyciągały dłonie ku płomieniom, choć od dawna nie czuły już zimna. Pochylały się nad miskami z kaszą i tylko wdychały zapach potraw, gdyż to im wystarczało. Jedne mówiły mało, urywanymi zdaniami. Inne snuły opowieści bez końca, jakby bały się, że gdy zamilkną, znikną na dobre. Były dusze zapomniane przez wszystkich, których imion nikt już nie wymawiał, i takie, które wciąż pamiętały śmiech dzieci albo ciężar pracy w polu. Opowiadały o miłościach, tęsknocie za domami, których już nie było, i o drobiazgach, takich jak: zapach chleba w izbie, skrzypienie drzwi, dźwięk dzwonków niesiony przez wiatr.

Dobrusia słuchała uważnie, bo wiedziała, że słowa są dla nich ostatnim śladem istnienia. Z każdą kolejną nocą dziadów coraz lepiej rozumiała, że dusze nie szukają tylkojadła czy rozmowy. Potrzebowały pamięci, tej jednej chwili, w której ktoś je dostrzeże i nie odwróci wzroku. Czasem czuła, jak któraś z dusz podchodzi zbyt blisko i dotyka jej ramienia albo sprawdza, czy serce dziewczyny naprawdę bije. Wtedy po plecach Dobrusi przebiegał chłód, lecz się nie odsuwała. Wiedziała, że wyczuwają w niej to samo pęknięcie, tę samą bliskość Wyraju, która czyniła ją bardziej swojską niż innych żywych. Nagle jej myśli przerwało głośnie krakanie. Czarne ptaszysko zerwało się z wysokiego wierzchołka drzewa i zakreśliło krąg nad jej głową.

– Czy ty zawsze musisz mnie tak straszyć? – westchnęła, biorąc głębszy oddech, gdy na jednej z gałęzi dostrzegła znajomą sylwetkę kruka.

Pióra połyskiwały jak mokry obsydian, a bystre oczy patrzyły na nią uważnie. Od pewnego czasu był jej towarzyszem. Pilnował, by nie wpakowała się w kłopoty, a to zdarzało się jej dość często. Nieraz ją irytował, gdy skrzeczał nad głową i zdradzał jej kryjówkę, kiedy próbowała ukryć się przed Jagą, szykującą dla niej kolejne zajęcia. A jednak nie potrafiła długo się na niego gniewać. Kilka razy uratował jej skórę; raz swoim krzykiem przywołał Leszego, gdy rozsierdzony dzik ruszył za nią w pogoń.

– Drawik! – zawołała, a ptak sfrunął na niższą gałąź.

Przekrzywił łebek i łypnął na nią błyszczącym okiem. Gdy to nie poskutkowało, podskoczył, zatrzepotał skrzydłami i zakrakał głośno, niemal z wyrzutem. Dobrusia od razu zrozumiała, że jej skrzydlaty przyjaciel domagał się smakołyku. Sięgnęła do kieszeni fartucha, wyjęła kilka kawałków suszonego jabłka i wyciągnęła rękę. Drawik sfrunął jej na ramię i zaczął łapczywie dziobać.

– No już... zasłużyłeś, mój strażniku czarnopióry. – Uśmiechnęła się rozbawiona. – Gdyby nie ty, dawno by mnie coś w tym lesie pożarło.

Kruk odpowiedział krótkim, gardłowym kraknięciem i przysunął się bliżej jej szyi, aby przyjąć pochwałę. Dobrusia roześmiała się cicho, czując, jak wraz z nim ulatuje napięcie. Spojrzała w korony drzew. Wiele liści opadło już po pierwszych chłodach i między powyginanymi gałęziami prześwitywało szarawe niebo. Dzień chylił się ku końcowi i zostało niewiele czasu, nim zaczną schodzić się dusze. Zarzuciła na plecy naręczne chrustu i zanosła je na rozdroże, które rano

wskazała jej Jaga. Staruszka poszła w głąb lasu, mówiła, że ma sprawę niecierpiącą zwłoki u Leszego. Dobrusia podejrzewała jednak, iż leśna baba udała się do kręgu czarownic, bo tylko tam można było jeszcze zerwać bylicę. Zioło słynęło z magicznych mocy, a dusze przepadały za jego gorzkim, dymnym zapachem.

– Pora na mnie – mruknęła i ruszyła ścieżką między jagodowym zagajnikiem ku wąskiej drodze.

Wkrótce ujrzała wiekową chatę pochyloną na jedną stronę, z dachem porośniętym grubą warstwą mchu. Z komina unosiła się leniwa smuga dymu, był to znak, że domowik czuwał, aby ogień nie wygasł. Ucieszona, że zdążyła przed powrotem Jagi, wbiegła do środka. Stare deski zaskrzypiały pod jej stopami, a dom jęknął cicho, gdy podmuch chłodu wtargnął do izby i wzburzył płomienie na palenisku.

– Zamykaj drzwi! – zawołał podenerwowany domowik, wyskoczywszy zza pieca. – Latawiec tak nie hula, jak ty wchodzisz!

Niewielki dziadunio o gęstej, siwej brodzie spojrzał na nią surowo, lecz gniew szybko zniknął, gdy dostrzegł jej przepraszający uśmiech.

– Kochany domowiku, nie złość się – powiedziała łagodnie i na znak przeprosin nałożyła na spodek twaróg skropiony miodem, po czym postawiła go na pieńku przy piecu.

– Dobrze, że wiesz, co lubię. – Zamlaskał z zadowoleniem i zabrał się do jedzenia.

Kiedy najadł się do syta, przysiadł w kącie izby i obserwował spod półprzymkniętych powiek, jak dziewczyna krząta

się podczas przygotowań. Dobrusia omiotła podłogę w pośpiechu, rozłożyła na ławie lniany obrus haftowany w błękitne kwiaty, a potem ustawiła misy kaszy jęczmiennej, maku z miodem i suszonymi śliwkami. Nie zabrakło mleka, jajek ani dzbanka z piwem. Wzięła się pod boki i spojrzała po izbie z zadowoleniem. Uczta dla dusz była gotowa. Pozostała tylko jedna rzecz, a mianowicie rozdarty rękaw sukienki. Sięgnęła do półki, gdzie Jaga trzymała przybory do cerowania. Rozejrzała się z pewną obawą, lecz najedzony domowik drzemał w kącie z brodą opartą o kolana. Westchnęła cicho. Nie miała wyjścia. Chciała tej nocy przywitać gości w ulubionej sukience, którą uszyła z niewielką pomocą Jagi z materiału otrzymanego od ojca. Teraz przez nieszczęsną tarninę rękaw był rozdarty. Podeszła do ławy i lekko na nią dmuchnęła, by spłoszyć duszyczkę, która mogła tam przysiąc. Dopiero wtedy ostrożnie usiadła. Małe pudełeczko ułożyła na kolanach, wyjęła igłę i nić. Już miała zszyć rozdarcie, gdy zza pieca dobiegł niespokojny głos:

– Nie wolno! – zapiszczał domowik, wyskakując na środek izby. – Co dziewczuszka wyprawia?!

Zaczął krążyć wokół niej, nerwowo szarpiąc długą brodę.

– Gdy leśna baba się dowie... – urwał nagle i aż chwycił się za głowę. – Będą z tego kłopoty. Wielkie kłopoty!

– Nic się nie dowie! – zawołała Dobrusia i wskazała go palcem. – Jeśli ty jej nie powiesz.

– Tak nie można! – Dreptał po izbie coraz szybciej. – To niebezpieczne. Dla dusz... i dla ciebie!

– Obiecuję, że będę ostrożna – odparła, przybierając niewinną minę.

Znała przestrogi Jagi. Przy każdej nocy dziadów staruszka powtarzała, by nie używać ostrych narzędzi, żeby nie zranić zbłąkanej duszy; zachować ciszę, bo śmiech i hałas je płoszą; nie wykonywać gwałtownych ruchów. Wyliczała zakazy tak długo, aż dziewczyna znała je na pamięć.

– To tylko jeden szew – mruknęła. – Zmierzech jeszcze nie zapadł.

Domowik zaczął nerwowo tupać nogami, gdy Dobrusia spojrzała na niego gniewnie. Był sympatycznym stworkiem, ale nadgorliwym aż do przesady. Wtem stare deski chaty zatrzęszczały, a okiennica uderzyła o ścianę. Z zewnątrz rozległo się złowrogie krakanie Drawika niosące się daleko między drzewami. Uparta Dobrusia zlekceważyła przestrogę. Nawlekła nić i już miała wbić igłę w materiał, gdy drzwi otworzyły się z impetem.

– Dziecko! Na Welesa! Co ty czynisz?! – Jaga stanęła w progu i ciężko dysząc, wzięła się pod boki. – Czy wszystkie moje nauki poszły na marne? Ile razy mówiłam, że w noc dziadów trzeba mieć baczenie na każdy ruch? A ty chcesz przyszyć do siebie zbłąkaną duszę!

– Papla... – syknęła Dobrusia pod nosem i posłała domowikowi gniewne spojrzenie.

– Myślałaś, że się nie dowiem? – prychnęła urażona staruszka i zrzuciła z ramion wełnianą chustę.

– Jago... wiesz, że byłam ostrożna – szepnęła dziewczyna ze skrucą, spuszczać wzrok. – To tylko rękaw.

Leśna baba długo patrzyła na nią spod krzaczastych brwi, jakby chciała zajrzeć w głąb jej serca.

– W noc dziadów nie ma „tylko” – powiedziała w końcu ciszej. – Jest albo rozważa, albo nieszczęście. A ty, dziecko, masz szczególny dar przyciągania kłopotów.

Westchnęła ciężko, lecz gniew już wygasł w jej głosie.

– Dość gadania. Pora się zbierać, nim pierwsze dusze zgubią drogę. Trzeba je sprowadzić na ucztę.

Żal, który ścisnął serce Dobrusi, szybko minął. Ożywiona, spakowała do torby potrzebne rzeczy: pęk bylicy, gałązkę jałowca, świecę, garść maku i mały dzbanek miodu. Chwilę później obie wyszły z chaty i zostawiły za sobą ciepło paleniska oraz ostrzegawcze pomruki domowika. Całą drogę Jaga pokonała w milczeniu. Szła pewnie, gdyż znała każdą nierówność ścieżki, nawet z zamkniętymi oczami. Dobrusia podążała obok zamyślona i zastanawiała się, jakie dusze tym razem przyjdą. Czy będą łagodne, czy niespokojne, skore do opowieści czy milczące jak kamienie.

Tegoroczna jesień była łagodna. Pamiętały noce dziadów, gdy las ścinał mróz, a śnieg zalegał na ścieżkach, że trzeba było torować drogę między zaspami. Palce drętwiały, a ogień gasł, nim nadeszły pierwsze dusze. Tym razem było inaczej. Zeschłe liście miękko szeleściły pod stopami, a sam las mówił półgłosem. Powietrze pachniało wilgotną ziemią, dymem i grzybami, a korony drzew wciąż złociły się resztką jesiennego blasku. Między pniami snuły się cienkie jak oddech, mleczne pasma mgły. Łatwo było w nich dostrzec skradające się kształty. Struga szemrała spokojnie, niosła ze sobą opadłe liście i wiotkie gałązki, a wiatr poruszał wierzchołkami drzew tak ostrożnie, jakby bał się spłoszyć coś, co

już zaczynało wychodzić z ukrycia. Las zdawał się czekać, zawieszony między dniem a nocą, między światem żywych a drogami Wyraju. Nad ich głowami krążył Drawik. Tym razem jednak dziwnie milczący. Zwykle jego krakanie niosło się echem po Szepczącym Lesie, lecz teraz tylko przysiadł na gałęziach i wpatrywał się w mrok, jakby czegoś nasłuchiwał.

– Czy ten kruk stracił głos? – mruknęła zaniepokojona Jaga i uniosła głowę, aby zerknąć w górę, na Drawika.

Dziwne przecucie nie opuszczało staruszki. Coś niewidzialnego, lecz ciężkiego jak burza wisiało w powietrzu.

– Sama zaczynam się zastanawiać... – odparła niepewnie Dobrusia i przykucnęła na rozstaju dróg, aby rozpaścić ognisko.

Suchy chrust ułożyła starannie i podłożyła hubkę. Iskra z krzesiwa złapała ją szybko. Płomień, z początku blady i chwiejny, zatańczył nieśmiało, lecz po chwili pochwycił grubszą gałąź i zapłonął jasnym blaskiem. Wąska smuga dymu o zapachu żywicy uniosła się między drzewami, otuliła obecne tam kobiety.

– Od rana łamie mnie w kościach, a to zły znak – mruknęła Jaga, rozcierając ramiona. – Pamiętaj, Dobrusiu... obcowanie z duszami bywa niebezpieczne.

Dziewczyna potulnie skinęła głową. Wiedziała o tym lepiej niż ktokolwiek. Jako małe dziecko umarła, zmorzona ciężką gorączką, i trafiła do Wyraju, lecz Weles, pan zaświatów, miał wobec niej inne plany. Zanim odesłał ją między żywych, oddał ją pod opiekę mamunom, by nauczyły ją słuchać szeptów lasu, rozumieć mowę wiatru i nie lękać się tego, co

stoi między światami. Choć ciało wróciło, jej duszę spowijał cień dobrze znany mieszkańcom Wyraju.

– Zaczynamy – rzekła Jaga.

Dobrusia sięgnęła po przyniesione zioła. Gdy ogień rozgorzał, najpierw wrzuciła w płomień bylicę, a zaraz potem kilka gałązek jałowca. Dym zgęstniał, nabrał ostrego zapachu i otulił je niczym niewidzialny płaszcz. Las wstrzymał oddech, a Drawik sfrunął nieco niżej.

– Dusze ciche, dusze stare, co drogami Wyraju chodziecie – szeptała wyuczone na pamięć przywołanie, które od lat powtarzała pod czujnym okiem Jagi. – Przyjdźcie do ognia, przyjdźcie do jadła. Ogrzejcie się i odpocznijcie. Niech ziemia nie będzie wam ciężka, a noc nie zwiedzie na manowce. W imię Welesa, strażnika dróg, witamy was, dziady.

Przez krótką chwilę miała wrażenie, że słowa wracają do niej echem. Już kiedyś je słyszała, gdy najbliżsi przyzywali jej duszę. Ogień i noc rozpoznały w jej głosie kogoś, kto zna ciszę dobiegającą zza granicy światów.

– Przyjdźcie, dusze! – zawołała głośniejszym głosem i rzuciła w ogień garść maku.

Ziarna strzeliły cicho, a chrust skropiony miodem zasyczał. Płomień rozjarzył się nagle jaśniej, a noc zdawała się nasłuchiwać. Rozległ się szmer niewyraźny i jako pierwszy pojawił się przygarbiony staruszek wsparty na drewnianej lasce. Twarz miał poszarzałą, lecz oczy świeciły łagodnym, przyciszonym blaskiem. Skłonił się nisko, nim przysiadł przy ognisku. Za nim nadeszli kolejni: kobiety w chustach, mężczyźni o zarysach rozmytych jak mgła, dzieci lekkie niczym

dym. Zbierali się wokół płomieni przyciągani ciepłem i zapachem jadła. A jednak nie było w nich zwykłej radości. Coś niewypowiedzianego ciążyło nad zgromadzeniem.

Wtedy Dobrusia poczuła chłód tuż przy ramieniu. Nie był to podmuch wiatru, lecz znak obecności jakiejś duszy, która odłączyła się od reszty i podeszła za blisko. Odwróciła głowę i dostrzegła sylwetkę stojącą niemal na granicy ognia, zbyt wyraźną jak na cień, by była tylko złudzeniem. Ciemne i puste oczy wpatrywały się w nią z natarczywą uwagą, były pełne oczekiwania na jej gest. Dobrusia cofnęła się o krok, a cień bezszelestnie poruszył się za nią. W popłochu zerknęła na Jagę, lecz ta stała znacznie dalej od niej i była zajęta rozmową z przybyłymi duchami. Tymczasem zimno znów dotknęło jej ramienia. Dusza zdawała się lgnąć do niej, przyciągana czymś, czego dziewczyna nie rozumiała. Wtem nad ich głowami rozległo się gwałtowne krakanie. Drawik zerwał się z gałęzi i trzepocząc, zaczął krążyć niespokojnie nad ogniem. Prawie muskał skrzydłami płomienie. Krzyczał ostro i urywanie rzucał w noc ostrzegawcze znaki. Nie wołał bez powodu, czuł obecność cienia i starał się go odpędzić. Sfrunął na ziemię i odważnie stanął między nim a Dobruską.

– A temu co znowu? – warknęła Jaga. – Wystraszy zmarłych. Uciszyć go.

Dusze poruszyły się niespokojnie. Jedne odsunęły się dalej od ognia, inne zaczęły szeptać między sobą głosami cienikami jak szelest suchych liści. Kilka zbłądziło ku mrokowi i rozplynęło się w cieniu drzew.

– Drawiku! Mam coś dla ciebie – zawołała Dobrusia i wyciągnęła rękę, na której położyła suszone jabłko.

Kruk przechylił łebek raz w jedną, raz w drugą stronę. Pióra miał nastroszone, a oczy błyszczały czujnym niepokojem. Zakrakał ponownie, tym razem znacznie ciszej, i wtedy cień, który podszedł zbyt blisko dziewczyny, cofnął się i rozpląnął poza kręgiem ogniska. Dopiero po chwili ptak sfrunął na jej dłoń i ostrożnie chwycił jabłko w dziób.

– Ty też to widziałeś? – szepnęła, z trudem kryjąc drżenie w głosie.

Pogładziła go po miękkich piórach i przemówiła łagodnym, kojącym tonem, jakim zwraca się do dzieci i zwierząt, gdy noc staje się zbyt gęsta.

– Już dobrze... ogień płonie, a ta dusza odeszła. Nic mi się nie stało.

Starła się, aby jej głos brzmiał pewnie, lecz myśli wciąż krążyły niespokojnie i nie dawały się uciszyć.

– Dobrusiu, czas prowadzić dusze na ucztę – zarządziła leśna baba i ruszyła ścieżką ku chacie, nieświadoma tego, co wydarzyło się przed chwilą.

Cień jednak nie odszedł daleko. Krążył między drzewami czujny i niespokojny, aż wreszcie przemknął pod płotem chaty, a tam przywarł do ziemi. Z bezpiecznej odległości obserwował, jak pozostałe dusze jedna po drugiej wchodziły do środka wdzięczne za ciepło i jadło. Te, dla których zabrakło miejsca, zbierały się na podwórzu przy ogniu, siadały na powalonych pniach i szeptały nieśmiało. Pamiętały, że nie należą już do świata żywych.

– Dziecko, zanieś tamtym trochę jadła, żeby i oni się posilili – poleciła Jaga, podając Dobruśce kosz wypełniony bułeczkami z makiem i miodem.

Dziewczyna wyszła na podwórze i ustawiła jedzenie na stole, a dusze zaczęły się zbierać. Wyciągały dłonie po jedzenie, ich głosy mieszały się w opowieściach o dawnych domach, polach i dzieciach. Wtedy Dobrusia dostrzegła ruch przy płocie. Coś nisko skulonego przy ziemi poruszyło się między gałęziami.

– Podejdź... – rozległ się ledwie słyszalny szept.

Serce ścisnęło jej się z lęku. Wiedziała, że nie powinna opuszczać kręgu ognia, gdzie światło chroni, a poza nim noc bywa zdradliwa, a jednak coś znajomego i bolesnego kazało jej zrobić krok naprzód. Zbliżyła się ostrożnie do płotu. Pod nim, przy samej ziemi, kuliła się dusza młodego mężczyzny. Twarz miał bladą, wypłukaną z barw, a niepokojne oczy łapały podejrzliwie na płomienie. Nie śmiał spojrzeć wprost.

– Czemu nie podejdiesz do stołu? – zapytała cicho.

Dusza, pełna obaw, cofnęła się odruchowo.

– Nie mogę – wyszeptał. – Ogień mnie woła, a ja nie jestem gotów odejść. Gdybym przysiadł z innymi, gdybym przekroczył próg... Weles upomniałby się o mnie tej nocy.

Zadrżał, spuścił wzrok i umilkł na chwilę.

– Mam sprawy niedomknięte – podjął. – Słowa, których nie wypowiedziałem. Gniew, z którym odszedłem. I coś, co zostało w ziemi, a powinno trafić do rąk żywych.

Spojrzał na dziewczynę błagalnie.